

PROLOG

SHELBY

Potrafię poruszać się tak cicho. Bezszelestnie.

Pośpiech jest wrogiem ciszy. Niecierpliwość przeszkadza w polowaniu. Ja się nie śpieszę.

Bezgłośnie skradam się w ciemnościach. Pyłki kurzu niczym miriady gwiazd wirują w świetle księżyca, które smugami przebija się przez baldachim gałęzi.

Słyszę tylko swój oddech, gdy powoli wciągam powietrze poprzez obnażone kły. Poduszki moich łap miękko opadają na wilgotne leśne runo. Nozdrza mi drgają. Wstuchuję się w bicie własnego serca, tłumiące szmer pobliskiego strumyka. Suchy patyk zaczyna pękać pod moja łapą.

Zamieram.

Czekam.

Mija dużo czasu, zanim znów ostrożnie unoszę łapę. „Cicho” – powtarzam sobie. Czuję kolejny zimny powiew powietrza. Żołądek mam ściśnięty i pusty. Nagle moją uwagę przykuwa jakiś szelest w pobliżu.

Ruszam dalej w mrok. Nadstawiam uszu. Ogarnięte paniką zwierzę jest blisko. Czy to jeleń? Przystaję znowu na dłuższą chwilę, której ciszę zakłóca jedynie brzęczenie nocnego owada i gwałtowne bicie mojego serca. Jak duże jest to zwierzę? Jeśli jest ranne, to nie będzie miało znaczenia, że poluję sama.

Coś ociera się o mój bark. Miękko. Czule.

Powstrzymuję przemożną potrzebę, żeby się wzdygnąć, spojrzeć do tyłu i kłapnąć to coś zębami. Zamieram na długi, naprawdę długi moment, a potem odwracam głowę, żeby zobaczyć, co tak delikatnie niczym piórko ociera się o moje ucho.

Nie potrafię tego nazwać. To unosi się w powietrzu, dryfuje na wietrze, raz za razem dotykając mojego ucha. Umysł mi płonie i skręca się w bolesnej próbie odnalezienia właściwego określenia.

Papier...?

Nie rozumiem, dlaczego tam jest. Dlaczego zwisa z gałęzi, skoro nie jest liściem. Czuję się przez to nieswojo. Dokoła na ziemi walają się rzeczy przesycone nieznanym, wrogim zapachem. Jest też skóra jakiegoś niebezpiecznego zwierzęcia, zdarta i pozostawiona samej sobie. Odsuwam się, obnażając zęby, i nagle dostrzegam swoją ofiarę.

Tylko że to nie jest jeleń.

To dziewczyna. Leży w błocie, orząc palcami ziemię, wijąc się i skomlać. W miejscach, gdzie pada światło księżyca, skóra nieznanym wydaje się biała jak śnieg na tle czarnej gleby. Strach bije od niej falami i wypełnia moje nozdrza. Czuję niepokój. Futro na moim karku jeży się i unosi. Ona nie jest wilkiem, ale pachnie jak wilk.

Zbliżam się bezszelestnie.

Dziewczyna nie zauważa mojego nadejścia.

Kiedy otwiera oczy, stoję tuż przed nią. Nasze nosy niemal się stykają. Na mój widok jej gorący, dyszący oddech się urywa.

Mierzmy się wzrokiem.

Pod wpływem tego spojrzenia futro na moim karku i wzdłuż kręgosłupa jeży się coraz bardziej.

Jej palce gorączkowo grzebią w ziemi. Kiedy się porusza, pachnie mniej wilkiem, a bardziej człowiekiem. W mojej czaszce rozbrzmiewają sygnały ostrzegawcze.

Obnażam kły, wycofuję się. Potrafię myśleć tylko o ucieczce. Pragnę znaleźć się znów pośród drzew, z dala od niej. Ale nagle przypominam sobie papier zwisający z drzewa i skórę na ziemi. Czuję się osaczona –

ta dziwna dziewczyna przede mną, ten dziwny i obcy liść za mną. Przykucam i zaczynam szorować brzuchem po poszyciu, z ogonem pomiędzy tylnymi łapami.

Warkot w moim gardle narasta tak powoli, że czuję jego wibracje na języku, zanim stanie się słyszalny.

Jestem uwięziona pomiędzy dziewczyną a tamtymi przedmiotami, które leżą na ziemi, tańczą wśród gałęzi i pachną jak ona. Nieznajoma patrzy mi prosto w oczy, rzuca mi wyzwanie, próbuje unieruchomić spojrzeniem. Jestem jej więźniem i nie mogę uciec.

Ale kiedy zaczyna krzyczeć, zabijam ją.